

## Z KRYSY JANDĄ rozmawia Aleksandra Szariat.

**- Trudno uwierzyć w kryzys w teatrze, kiedy patrzy się na widownię w trakcie "Shirley Valentine". Sala jest wypełniona po brzegi, młodzi ludzie siedzą nawet na schodach.**

- Nie dzieje się tak za sprawą mojej osoby. To dzięki tekstowi. Ta sztuka Willy'ego Russella została kilka lat temu uznana za komedię roku. Jest niezwykle dobrze i błyskotliwie napisana, żart goni żart. Wszystkie właściwie aktorki, które to grały, odnosiły sukces. To jest po prostu pewny koń.

**- Odtwarzana przez panią z wielkim powodzeniem bohaterka sztuki, Shirley, w pewnym mo-**

Jędrusiem zupełnie sama. Rzeczywiście, kiedy wychodzę do ogrodu - jednocześnie grabię liście, jeżeli idę na spacer - to po jajko albo zbieram kasztany, żeby z nich coś zrobić, bo przecież dzieci muszą się rozwijać. Jeżeli... wszystko jest po coś. Coś o-krop-ne-gol

**- I dlatego z wyjazdów przysyła pani korespondencję do "Szpilek". Ale te, które czytałam, wcale nie były wesołe, a już na pewno nie "Lekki dzień zajęciowy" w Hannoverze, który trwał bite 24 godziny, w dwa tygodnie po cesarskim cięciu...**

- To rzeczywiście nie było łatwe. Ja czasami chciałabym się troszkę zagapić... Nawet nie odpocząć, tylko troszkę mieć mniej tego motoru w sobie, trochę mniej wyrzutów sumienia, że przez minutę siedzę...

**- Zawsze byliśmy artystami ubogich i wciąż gramy dla tej garstki studentów czy innej małej grupy. Widownię stanowią przeważnie ludzie młodzi, pomiędzy 15 a 22 rokiem życia. Potem się już rzadziej chodzi. Zatem my zawsze graliśmy dla biednych ludzi. Teraz się profil publiczności trochę zmienia, jednak fałszywie byłoby analizować go na przykładzie sztuki Russella, bo ona akurat podoba się wszystkim, bez względu na wiek i pieniądze,**

**- Wraz z grupą aktorów podpisała pani ostatnio list protestacyjny w sprawie losu polskich teatrów, m.in. Teatru Dramatycznego.**

- Chodzi tu o pochopne decyzje ludzi, którzy nie bardzo się jeszcze orientują w sytuacji. Należy przede wszystkim chronić coś, co

**prowinccjonalizm nie daje się w znak?**

- Nie, jeśli chodzi o mój zawód, o to, jaką jestem aktorką. Widzę, jak oni grają i umiem grać tak samo dobrze albo i lepiej. Tu nie ma żadnych problemów. Mam je natomiast sama ze sobą. Prowincjonalność jest we mnie, w mojej części życia prywatnego. Po prostu nie lubię tych wyjazdów, nienawidzę hoteli, samolotów i tego stylu życia. Już nawet nikomu o tym nie mówię, bo wszyscy uważają, że opowiadam jakieś głupoty, że np. mam bilet do Paryża, potem przelatuję z Paryża do Wiednia, a z Wiednia jadę do Berlina na rozdanie "Feliksów", ponieważ muszę. Że było w tej sprawie 20 telefonów, z czego 19 rozmówcom odmówiłam, aż w końcu ktoś do mnie przemówił i wreszcie jadę. Nie wiem, czy to jest prowincjonalizm czy nie, ale coś w tym jest, że ja sobie po prostu mówię: "A niech oni sobie tam robią, co chcą, a ja tutaj posadzę kwiatki". I przez to czuję się szczęśliwsza... Wolę zagrać w Warszawie dla mojej publiczności niż być przewodniczącą jury jakiegoś festiwalu na świecie. Ale gdzieś tam, w głębi nie jadę pewnie z jakiegoś strachu i lęku. A grać lubię i tu, i tam. Nie mam kompleksów, bo tak się składa, że za każdym razem moja gra się podoba. Oczywiście są pewne bariery - ograniczenia językowe i to, że przyjeżdżam z innego kraju. Nie mogę np. grać Niemki w Niemczech, a Francuzki we Francji. Jestem w dubbingu, a to szalenie utrudnia pracę. Dlatego nigdy nie zrobię prawdziwej kariery, a za

tym słowem kryje się bardzo dużo...

**- Na przykład, żeby nie mówiono, iż jest pani polską Meryl Streep - tylko o Meryl, że to amerykańska Janda?**

- Nawet nie. Ja po prostu mam duże wymagania co do tego, co to znaczy: kariera. Nie potrafię tego dokładnie sformułować, ale to znacznie więcej niż wydaje się tym, którzy mówią, że ją zrobiłam. Ja po prostu jeżdżę grać, ale wobec tych ograniczeń, żebym nie wiadomo jak genialnie grała i tak nic z tego nie będzie. Świetnie mi to wyłożył teraz niemiecki producent: "Jakie to szczęście, że nie mówisz dobrze po angielsku i niemiecku, dlatego że nie byłoby nas na ciebie stać". To wszystko jest skomplikowane. Pomijam już fakt mojego wieku. Więc za każdym razem, kiedy dostają propozycję,

**Zawsze myślę, że to już ostatni raz.**

# Zachłanna na życie

**miencie zauważyła, iż grzechem jest tak zmarnować życie, jak uczyniła to ona. W pani przypadku nie można tego powiedzieć: 14 lat pracy i ponad 40 filmowych ról, do tego teatr, estrada, kabaret. Z jednej strony życie zawodowe, a z drugiej udane życie rodzinne - troje dzieci, dobre małżeństwo. Czy można być bardziej zachłannym na życie niż pani?**

- Nie, po prostu trzeba się uspokoić. Jestem rzeczywiście bardzo zagoniona. I bywa, że gdy mam wolną chwilę, nie potrafię się już cieszyć życiem. Wciąż myślę, że może powinnam coś zrobić. Mam okropną cechę charakteru, odczuwam nieustanną potrzebę wyprodukowania czegoś w każdej minucie. To jest straszne. Jeszcze dotąd sobie nie wyjaśniłam, że odpoczynek jest teraz jedną z największych korzyści, jakie mogę odnieść, gdyż daje mi siły. A mam ich już jakby mniej, szczerze mówiąc. Zaczynam mieć ze sobą jakieś problemy, na szczęście jeszcze drobne. Po urodzeniu dziecka wróciłam do bardzo intensywnej pracy, mimo że obiecywałam sobie, mamie, mojemu mężowi i moim dzieciom, że znacznie zwolnię. Dlatego wyprowadziłam się poza Warszawę, by sobie fizycznie unieemożliwić pracę.

**- Tymczasem obróciło się to przeciwko pani...**

- Niezupełnie. Kiedy patrzę na to z zewnątrz, efekty są: Po prostu nie mogę aż tylu rzeczy robić, mieszkając w Milanówku i mając dom. To mnie fizycznie ograniczyło. Ale moje najmłodsze dziecko nie sypia nocami i ja razem z nim, a do tego mój mąż od roku jest za granicą, więc jestem z tym małym

**- Gdyby podjęła pani taką decyzję, z czego byłoby łatwiej zrezygnować: z teatru czy z filmu?**

- Nie wiem, co jest dla mnie ważniejsze, ale w filmie czuję się lepiej. Więcej wiem na ten temat, więcej umiem. Ale "Shirley Valentine" jest właściwie prawie filmem. Praktycznie nie ma różnicy. Używam takich środków wyrazu, jakbym miała przed sobą włączoną kamerę. Zresztą, po raz pierwszy odważam się tak grać, ufając w to, że widzowie będą śledzić każde małe drgnienie brwi czy ruch powieki. I okazuje się, że...

**- ...że się pani nie zawodzi na publiczności.**

- Co mi sprawia ogromną przyjemność. Zawsze dążyłam do środków wyrazu, które będą właściwie odczytane, tak by widz przez te dwie godziny uwierzył w to, co ogląda, by zapomniał - choć to tylko umowa - że jest w teatrze. Zawsze pragnęłam dojść do takiej prawdy. A tutaj gram tak, jakbym prywatnie opowiadała komuś przeżycia Shirley, i to w bardzo małym pokoju. To wielka frajda. A do tego okazało się, że nie muszę udawać. Im filozofijniej gram, im większy margines niedopowiedzenia zostawiam, im więcej w mojej grze żartu, autoironii, tym lepiej reaguje widownia, więcej rozumie. A nawet rozumie więcej niż ja i uczy mnie, w którym miejscu następnego wieczoru zrobić pauzę, gdzie przesiągnąć, gdzie się zastanowić, naprowadza mnie na nowe tematy.

**- A zatem nie podziela pani zdania tej części środowiska aktorskiego, która narzeka, że do teatru przychodzi dziś gorsza publiczność - ta, która ma pieniądze...**

było zawsze wartością. Nie można doprowadzić do tego, żeby wszystko runęło, a na zgłiszczach powstał jakiś nowy mechanizm, ponieważ jest to po prostu głupie. My mamy naprawdę wielkie tradycje i osiągnięcia teatralne, i za wszelką cenę trzeba to ocalić. Poza tym wiadomo, że wszystko się musi zmienić, a wielu aktorów i tak odepnie z zawodu.

**- Jednak przykład pani, Olbrychskiego, Pszoniaka i jeszcze kilku osób dowodzi, że jeśli się jest dobrym, można się przebić. Tymczasem wszędzie słychać utyskiwania.**

- Niezupełnie tak jest. Wymieniła pani tych, którzy akurat mieli szczęście. Tymczasem oprócz mnie, Daniela, Wojtka, Andrzeja Seweryna czy jeszcze tam kogoś istnieje w Polsce wielu aktorów, śmiem twierdzić, że lepszych niż my. To zależy w wielu przypadkach od zbiegu okoliczności. Mnie tylko denerwują utyskiwania tych, którzy nic nie robią, żeby sobie pomóc. Na przykład w naszym teatrze jest kilka osób, które równolegle przejęły inne posady i starają się tu grać, a pieniądze zarabiać gdzie indziej. Trzeba sobie samemu pomagać, a nie siedzieć i narzekać. Mnie łatwo mówić, bo sama nigdy nie byłam w takiej sytuacji. Swoją drogą chciałabym zobaczyć, jak ja bym reagowała...

**- Ostatnio polscy telewidzowie mogli panią zobaczyć w czasie wręczania "Feliksów", grywa pani coraz więcej w zachodnich filmach, piszą o pani "Le Figaro", "Le Progres". Proszę powiedzieć, jak czuje się polska aktorka na Zachodzie? Czy nasz polski**



izm czy nie, ale coś w tym jest, że ja sobie po prostu mówię: "A niech oni sobie tam robią, co chcą, a ja tutaj posadzę kwiatki". I przez to czuję się szczęśliwsza... Wolę zagrać w Warszawie dla mojej publiczności niż być przewodniczącą jury jakiegoś festiwalu na świecie. Ale gdzieś tam, w głębi nie jadę pewnie z jakiegoś strachu i lęku. A grać lubię i tu, i tam. Nie mam kompleksów, bo tak się składa, że za każdym razem moja gra się podoba. Oczywiście są pewne bariery - ograniczenia językowe i to, że przyjeżdżam z innego kraju. Nie mogę np. grać Niemki w Niemczech, a Francuzki we Francji. Jestem w dubbingu, a to szalenie utrudnia pracę. Dlatego nigdy nie zrobię prawdziwej kariery, a za

myślę, że to już ostatni raz i wreszcie sobie odpocznę. Nie wierzę, że jeszcze będzie im się chciało mnie zapraszać i pokonywać związane z tym trudności - batalię ze związkami zawodowymi, telewizjami, sponsorami, którzy bronią interesów własnych aktorów. Zawsze wątpię w to, że znajdzie się taki drugi wariat, który mnie zaangażuje. I tak to już trwa osiem lat. Kręcę mniej więcej dwa filmy rocznie. Ale tym razem to już był naprawdę ostatni raz. Więc nie przesadzajmy z tym wszystkim.

PS. Telewizja Polska dziś w programie I o godz. 20.10 pokaże film Ryszarda Bugajskiego "Przesłuchanie", w którym gra wspaniała Krystyna Janda.

Fot. LEOPOLD DZIKOWSKI